

# Spojrzenie



STEFAN GRABIŃSKI

NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ

## Spojrzenie

*Karolowi Irzykowskiemu poświęcam*

Zaczęło się jeszcze wtedy — przed czterema laty, w owo dziwne, straszliwie dziwne popołudnie dnia sierpniowego, gdy Jadwiga po raz ostatni wyszła z jego domu...

Była wtedy jakaś inna niż zwykle, jakaś jakby bardziej nerwowa i czegoś wyczekująca. I tuliła się doń namiętniej niż kiedykolwiek...

Potem nagle szybko ubrała się, zarzuciła na głowę swój niezrównany szal wenecki i pocałowałwszy go mocno w usta, odeszła. Jeszcze raz mignął tam u wejścia brzeg jej sukni i smukły kontur trzewika i wszystko skończyło się na zawsze...

W godzinę potem zginęła pod kołami pociągu. Odonicz nie dowiedział się nigdy, czy śmierć ta była dziełem przypadku, czy też Jadwiga rzuciła się sama pod rozhukaną w pędzie maszynę. Była przecież istotą nieobliczalną ta smągła, ciemnooka kobieta...

Lecz nie o to chodziło, nie o to. Ten ból, ta rozpacz, ten nieutulony żal — to wszystko było przecież w tym wypadku tak naturalne, tak oczywiste. Więc nie o to chodziło.

Zastanawiało coś całkiem innego — coś tak śmiesznie błahego, coś tak drugorzędnego... Jadwiga, wychodząc od niego po raz ostatni, nie zamknęła za sobą drzwi.

Pamięta, jak odprowadzając ją przez pokój, potknął się i pochylił zniecierpliwiony, by wyprostować zagięty róg kobierca. Gdy po chwili podniósł oczy, Jadwigi już w pokoju nie było. Odeszła, pozostawiając drzwi otwarte.

Dlaczego nie zamknęła ich za sobą? Ona, zwykle tak przytomna, tak czasami pedantycznie przytomna kobieta?...

Pamięta owo przykre, owo nader przykre wrażenie, jakie sprawiły na nim wtedy te szeroko na oścież roztwarte drzwi powiewające niby żalobna chorągiew na wietrze swym czarnym, gładko politurowanym skrzydłem. Drażnił go ich chwierutliwy, niespokojny ruch, który co chwilę odcinał mu sprzed oczu, to znów odsłaniał ziejącą żarem popołudniowego słońca partię skweru przed domem...

Wtedy to nagle przyszło na myśl, że Jadwiga opuściła go na zawsze, pozostawiając mu do rozwiązania jakiś zawły problem, którego zmysłowym wyrazem było owo uchylenie drzwi...

Tknięty złowróżbnym przecuciem poskoczył ku nim i wyjrzał poza rozchwiane skrzydło w dal, na prawo, w stronę, w którą prawdopodobnie odeszła. Ani śladu... Przed nim rozpościerał się szeroko złotą piaszczystą równią pusty, rozpalony od skwaru letniego plac, hen aż po nasyp kolejowy tam na krańcach horyzontu. Nic — tylko ta złocista, pijana słońcem płaszczyna... Potem długi, kilkumiesięczny, tępy ból i głucha, szarpiąca duszę w kawały rozpacz utraty... Potem... wszystko minęło — rozwiało się jakoś, usunęło gdzieś w kąt...

I wtedy przyszło to. Chyłkiem jakoś, nieznacznie, ni stąd, ni zowąd, niby od niechcenia. Problem otwartych drzwi... Cha, cha, cha! Problem! Śmiech powiedzieć, doprawdy! Problem niedomkniętych drzwi. Uwierzyć trudno, na honor, uwierzyć trudno. A jednak, a jednak...

Po nocach całych snuły mu się w mózgu upartą, senną zmorą — miał je w dzień pod przymkniętą momentalnie powieką, wylaniały się wśród jasnej, trzeźwej jawy gdzieś daleko w perspektywie drażniącym majakiem...

Omen

Lecz teraz nie chwiały się już pod naporem wiatru jak wtedy, w ową fatalną godzinę, tylko powoli, całkiem powoli odchyłały się od fikcyjnej futryny. Zupełnie tak, jak gdyby ktoś z zewnątrz, z tamtej drugiej, niewidzialnej dla jego oka strony, chwycił za kłamkę i ostrożnie, bardzo ostrożnie otwierał je o pewien kąt...

Właśnie ta ostrożność, ta szczególna przezorność ruchu mroziła do szpiku. Jak gdyby obawiano się, by kąt odchylenia nie był za wielki, by drzwi nie otworzyły się za szeroko. Wyglądało na to, że się z nim przekomarzają, nie chcąc w całej pełni pokazać tego, co się kryło poza tym przeklętym skrzydłem. Uchylano przed nim tylko rąbka tajemnicy, dawano mu do poznania, że tam, po tamtej stronie, za drzwiami istnieje tajemnica, lecz bliższe szczegóły zazdrośnie zatajono...

Odonicz bronił się przed tym maniackim refrenem wszelkimi siłami. Po tysiąc razy na dzień przekonywał siebie, że poza drzwiami wchodowymi<sup>1</sup> nie ma nic niepokojącego, że w ogóle poza żadnymi drzwiami nic się nie kryje, nic się nie czai. Co chwila odrywał się od przymusowo na się nałożonej pracy, krokiem śpiesznym, drapieźnym, krokiem czatującego lamparta przypadał kolejno do wszystkich drzwi pokoju, otwierał je, niemal wyrzucał z zamku i zapuszczał głodne spojrzenie w przestrzeń poza nimi. Oczywiście zawsze z tym samym wynikiem: nie stwierdził ani razu nic podejrzanego; przed oczyma śledzącymi ze straszliwą jakąś ciekawością poszlak tajemnicy rozkładał się po staremu, jak za „dawnych, dobrych czasów”, bądź pusty, jałowy skwer, bądź banalny fragment korytarza lub ciche, ustalone raz na zawsze wnętrze sąsiedniej sypialni czy łazienki.

Wracał niby uspokojony do biurka, by za parę minut znów ulec prześladowanej go myśli... W końcu poszedł do jednego z najwybitniejszych neurologów i zaczął się leczyć. Wyjeżdżał parokrotnie nad morze, brał zimne kąpiele, zaczął wieść życie hulaszcze.

Jakoś po czasie zdawało się, że wszystko przeszło. Uporczywy obraz uchylonych w perspektywie drzwi powoli zatarł się, wypłowił, jakby przygasł, w końcu rozwiął się.

I byłby Odonicz z siebie zupełnie zadowolony, gdyby nie pewne objawy, które wyłoniły się w parę miesięcy po ustąpieniu tamtej zmory.

A przyszło tak jakoś nagle, niespodzianie, na miejscu publicznym, na ulicy...

Właśnie był u wylotu Świętojańskiej i zbliżał się do punktu skrzyżowania jej z Polną, gdy wtem na samym rogu, niemal u węgła ostatniej kamienicy, zdjął go zniecka piekielny strach. Wypadł skądś z zaułka i żelaznymi szponami chwycił za krtań.

— Nie pójdziesz dalej, kochanku! Ani kroku dalej!

Odonicz zamierzał początkowo skrócić wprost na Polną w miejscu, gdzie kończyła się wspomniana kamienica, której okna spoglądały „podwójnym frontem” na obie ulice — gdy uczył w sobie ten sprzeciw. Nie wiadomo dlaczego, nagle wydał mu się kąt przecięcia ulic za silny jak na jego „nerwy”: po prostu zaistniała gwałtowna obawa, że tam „za załomem”, „na zakręcie” można spotkać się z „niespodzianką”.

Narozny dom, który należało okrążyć pod kątem niemal prostym, by skrócić na Polną, chronił na razie przed tą niemłą ewentualnością, zasłaniając swą potężną, kilkupiętrową pierzeją widok „z tamtej strony”. Lecz ostatecznie ściana musiała się kiedyś skończyć, odsłaniając nagle, przerażająco nagle to, co było na lewo od węgła. Ta nagłość, ta gwałtowność przejścia z jednej ulicy na drugą, zakrytą dotąd przed jego oczyma niemal zupełnie, przejmowała bezgraniczną trwogą: Odonicz nie śmiał wyjść na spotkanie „nieznanemu”. Więc poszedł drogą kompromisu i tuż przed samym zakrętem zamknął oczy, z ręką opartą o mur kamienny, by nie upaść, powoli zaczął zbaczać na Polną.

W ten sposób posunął się parę kroków naprzód, prześliznął palce po krawędzi ściany i otarłszy się o wystający kant domu, uczył, że skręt szczęśliwie przebyty i że wkroczył w strefę drugiej ulicy. Mimo to nie śmiał jeszcze otworzyć oczu, lecz wciąż macając ręką ściany domów, schodził w dół Polnej.

Dopiero po paru minutach takiej wędrówki, gdy już zdobył niejako „prawo obywatelstwa” w nowej strefie, gdy nareszcie uczył, że już tutaj „wiedzą” o jego obecności — odważył się i podniósł przymknięte powieki. Spojrzawszy przed siebie, z uczuciem ulgi przekonał się, że nie ma nic podejrzanego. Wszystko było zwyczajne i normalne, jak przystało na ulicę wielkowiejską: przejeżdżały pędem dorożki, przelatowały jak błyskawice autobusy, mijali się przechodnie. Odonicz zauważył tylko o parę kroków od siebie

Strach, Wzrok,  
Niebezpieczeństwo

<sup>1</sup>wchodowy (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

jakiegoś gapia, który z rękoma zapuszczonymi w kieszenie, z papierosem w gębie przy-  
patrywał mu się znać już od chwili z ciekawością, uśmiechając się złośliwie.

Odonicza ogarnęła nagle wściekłość i niby jakiś wstyd. Czerwony ze wzruszenia przy-  
stąpił do impertynenta<sup>2</sup> i zapytał opryskliwie:

— Cożes tak wywalił na mnie swe bezmyślne trzeszcze, gamoniu jakiś?

— He, he, he! — wycedził łobuz, nie wyjmując papierosa z ust. — Myślałem se zrazu,  
że pan ślepiec — a teraz se myślę, że pan ino bawił się ze sobą samym w ciuciubabkę.  
Te... cie go! Też pańska fantazja!

I nie zważając już na rozjuszonego odpowiedzią gentlemiana, przeszedł, gwizdząc jakąś  
aryjkę, na drugą stronę ulicy.

W ten sposób wyłonił się na horyzoncie nowy problem: „na zakręcie”.

Odtąd Odonicz stracił pewność siebie i swobodę ruchów na miejscach publicznych.  
Nie mogąc przejść bez uczucia tajemnego lęku z jednej ulicy na drugą, stosował metodę  
obchodzenia skrętów w szerokich kołach; było to wprawdzie nader niewygodne, gdyż  
„nakładał” zawsze ogromnie wiele drogi, lecz unikał w ten sposób gwałtownych zbroceń,  
łagodząc znacznie kąt załamania ulic. Teraz już nie potrzebował przymykać oczu przy  
narożnych kamienicach.

Wszelkie niespodzianki, jakie ewentualnie mogły kryć się „poza węglem”, miały teraz  
czasu dość do „zamaskowania się” przed nim; owo bliżej nieokreślone, zgoła heteroge-  
niczne<sup>3</sup> i dziko mu obce „coś”, którego istnienie wyczuwał przez skórę po tamtej stronie  
zakrętu, mogło teraz spokojnie, niezaskoczony jego nagłym wyłonieniem się na rogu no-  
wej ulicy, przyczaić się na pewien czas, względnie, mówiąc dosadnym stylem Odonicza,  
„dać nura pod powierzchnię”. Bo że coś tam było „za załosem”, coś zasadniczo „innego”  
— o tym nie wątpił już wtedy ani trochę.

W każdym razie przynajmniej w owym okresie czasu Odonicz wcale nie życzył sobie  
spotkania z „tym” oko w oko; przeciwnie, pragnął schodzić mu z drogi, ułatwiając „ma-  
skowanie się” w samą porę. Niesamowita trwoga, która przejmowała go na samą myśl,  
że mogłyby nastąpić przed nim jakieś w tym względzie „rewelacje”, jakieś niepożądane  
objawienia i niespodzianki — umacniała go tylko w przekonaniu, że niebezpieczeństwo  
jest istotnie poważne.

Opinia innych ludzi o tej sprawie nie obchodziła go przy tym zupełnie. Uważał, że  
każdy powinien sobie z „tym” dawać radę sam, o ile w ogóle u kogokolwiek poza nim  
zachodziła podobna ewentualność.

Odonicz zdawał sobie jasno sprawę, że może na całym świecie prócz niego nikt nie  
zwrócił na „to” uwagi. Przypuszczał nawet, że większość kochanych bliźnich parsknęłaby  
mu w nos ordynarnym śmiechem, gdyby tak odważył się któremu z nich powierzyć swoje  
wątpliwości. Dlatego milczał uporczywie i sam pasował się z „nieznanym”.

Po pewnym dopiero czasie zauważył, że źródłem jego szczególnej trwogi był strach  
przed „tajemnicą” — owym dziwnym dajmonium<sup>4</sup>, które od wieków włożyło maskę na  
twarz i chodzi w niej pomiędzy ludźmi. Nie nęciła go wcale jego zagadkowość, nie czuł  
w sobie na razie powołania na Edypa<sup>5</sup>. Przeciwnie! Chciał żyć, żyć i jeszcze raz żyć! Dlatego  
unikał spotkania i ułatwiał wzajemne wymijanie się...

Od czasu owego wewnętrznego sprzeciwu, który tak zniechęcał zaatakował go na rogu  
Polnej, nabrał zasadniczego wstrętu do wszelkich ścian, przepierzeń, w ogóle do wszel-  
kich „osłon” nietrwałych i prowizorycznych, które tylko na chwilę zakrywają to, co poza  
nimi. W ogóle uważał, że wszelkie tzw. ekrany są wymysłem zgubnym, a nawet nieetycz-  
nym, gdyż ułatwiają niebezpieczną grę „w chowanego”, budząc przy tym często nieufność

<sup>2</sup>impertinent — człowiek zachowujący się arogancko, obraźliwie wobec kogoś. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>heterogeniczny (z gr. *heteros*: inny, *genos*: pochodzenie, ród) — różnorodny, niejednorodny; tu zapewne: obcy,  
mający inne pochodzenie, należący do innego rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>daimonium, właśc. *daemonium* (łac.) a. *daemonion* (gr.) — pomniejsze bóstwo, nadprzyrodzona moc,  
w swoich nieprzewidywalnych i często przerażających przejawach; w w filoz. staroż.: ostrzegawczy głos we-  
wnętrzny pochodzenia boskiego, powstrzymujący człowieka przed błędnymi decyzjami i popełnieniem zła.  
[przypis edytorski]

<sup>5</sup>Edyp (mit. gr.) — rozwiązał zagadkę Sfinksa, skrzydlatego potwora o głowie kobiety i tułowiu lwa, który  
czatował na podróży zmierzających do Teb i zadawał im trudne pytanie-zagadkę, a gdy nie umieli odgadnąć  
odpowiedzi, pożerał ich. Edyp udzielił poprawnej odpowiedzi, a wtedy Sfinks rzucił się w przepaść. [przypis  
edytorski]

i trwogę tam, gdzie może nieraz nie ma ani śladu niesamowitości. Po co ukrywać rzeczy, które na zatajenie nie zasługują? Po co niepotrzebnie wzniecać podejrzenie, jak gdyby „tam” było coś naprawdę do ukrywania?...

A jeżeli owo „coś” rzeczywiście istnieje — po co nastroczać mu sposobność do „chowanki”?

Odonicz stał się zdecydowanym zwolennikiem dalekich, jasnych perspektyw, szerokich placów, rozległych i otwartych, hen, hen daleko jak okiem sięgnąć, przestrzeni. Nie cierpiał natomiast dwuznaczności zaułków, przyczajonych zdradziecko w półmroku podsieni, hipokryzji wielkomiejskich przecznicy i krętych „uliczek bez wyjścia”, które zdają się wiecznie czyhać na samotnego przechodnia. Gdyby to od niego zależało, budowałby miasta wedle zupełnie nowego planu, którego zasadą byłaby prostota i szczerść; byłoby tam dużo, bardzo dużo słońca i szeroko rozrzuconej przestrzeni.

Dlatego też najchętniej odbywał przechadzki poza miasto po rozległych, z rzadka zaludnionych domostwami bulwarach lub też podwieczorną porą po podmiejskim wygonie<sup>6</sup> gubiącym się cicho w mgłach nieskończonych dali...

I mieszkanie Odonicza uległo w tym czasie radykalnym przemianom. W myśl zasady prostoty i szczerści pousuwał wszystko, cokolwiek mogło trącić manierą „przykrywek i obsłonek”.

Znikły więc stare, perskie dywany, puszyste „buchara”<sup>7</sup> i tłumiące echo kroków „sumaki”<sup>8</sup>, zeszyły ze ścian bezpowrotnie fałdziste kotary i draperie. Ogołocił okna z dyskretnych firanek, powyrzucił jedwabne ekrany. Nawet parawan z zielonej kitajki<sup>9</sup>, ulubiony niegdyś sprzęt Jadwigi, przestał ocieniać potrójnym skrzydłem wnętrze sypialni. Nawet szafy okazały się sprzętem podejrzanym o przynależność do kategorii „skrytek”. Toteż kazał je wynieść na strych, poprzestając na zwykłych wieszadłach i „szaragach”<sup>10</sup>.

Tak przekształcone mieszkanie zdobyło charakter dziwnej, graniczącej z ubóstwem prostoty. Wprawdzie nieliczni znajomi z tych czasów zwracali mu uwagę na przesadną prymitywność urządzenia, przebąkując coś niecoś o stylu szpitalno-koszarowym, lecz Odonicz przyjmował te uwagi z uśmiechem pobłażania i nie dał się przekonać. Przeciwnie, z dniem każdym znajdował coraz większe upodobanie w swym *interieurze*<sup>11</sup>, które opuszczał coraz rzadziej, unikając w ten sposób „niespodzianek” czyhających zewnątrz. Lubił to swoje ciche, prostolinijne wnętrze, gdzie nie potrzebował się lękać żadnych zasadzek, gdzie wszystko było jasne i otwarte „jak na dłoni”.

Nie przytajało się tu nic poza oponami<sup>12</sup>, nie czało się nic w cieniu zbytecznych sprzętów. Nie było tu żadnych nastrojowych półmroków i półświatł, żadnych niedomówień i problematycznych przemilczeń. Wszystko było oczywiste jak „kromka chleba na talerzu lub książka kucharska rozłożona na stole”.

W dzień zalewały mieszkanie strugi zdrowego, jędrnego słońca, za pierwszą przegrywką do wieczornych zmroków rozbłyskiwały jarkim<sup>13</sup> światłem elektryczne żarówki. Oczy pana domu mogły swobodnie i bezkarnie wędrować po ścianach gładkich, niepoobwieszanych draperiami, ozdobionych chyba tu i ówdzie parą angielskich, pogodnej treści sztychów. Nic tu nie mogło zaskoczyć, nic przykucnąć niepostrzeżenie za jakim węglem.

„Jak w szczerym polu — myślał sobie nieraz Odonicz, pojąc wzrok oczywistością otoczenia. — Stanowczo dom mój nie jest terenem dogodnym dla chowanki”.

Jakoż zdawało się, że zarządzone środki prewencyjne odniosły pożądaną skuteczną. Odonicz uspokoił się znacznie i czuł się nawet w tym czasie względnie szczęśliwy. I nic nie byłoby zamąciło świętej ciszy, gdyby nie pewne szczegóły, zresztą dość niewinnej natury, gdyby nie pewne takie sobie śmieszne szczegółiki...

<sup>6</sup>wygon — wspólne pastwisko dla całej wsi lub droga, którą się pędzi bydło. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>buchara — rodzaj cenionych dywanów wytwarzanych w Uzbekistanie w okolicach miasta Buchara, głównego miejsca handlu tymi wyrobami. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>sumak — gładki dywan orientalny, tkany na płasko techniką tkacką o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>kitajka (daw.) — tkanina jedwabna. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>szaraga — rodzaj wieszaka na ubrania w postaci stojącej ramy z haczykami a. kołkami. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>interieur (fr.) — wnętrze. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>jarki — dziś: jarzący się; żarzący się. [przypis edytorski]



Jednego wieczora ślezczał Odonicz przez parę godzin bez przerwy nad wykończeniem większej naukowej pracy, którą zamierzał drukować w najbliższej przyszłości. Dzieło wchodzące w zakres studiów przyrodniczych zwalczało niektóre nowsze hipotezy biologiczne, wykazując ich bezradność wobec fenomenów zaobserwowanych w życiu stworzeń na pograniczu między światem zwierzęcym a roślinnym.

Znużony dłuższym wysiłkiem myśli odłożył na chwilę pióro, zapalił papierosa, po czym odchyliwszy głowę na poręcz fotela położył prawą rękę na biurku, prostując ścierpę od pisania palce...

Wtem — wzdrygnął się, wyczuwszy pod nimi coś miętko-ustępliwego. Mimo woli cofnął rękę i spojrzał uważnie na prawą partię biurka, gdzie zwykle leżał ciężki, masywny przycisk z porfiru<sup>14</sup>. Wtedy ze zdumieniem spostrzegł zamiast kamienia kawałek suchej, wąskoporowatej gąbki.

Przetarł oczy i dotknął ręką przedmiotu. Była to gąbka! Typowa, jasnożółta gąbka — *spongia vulgaris*<sup>15</sup>...

— Co za diabeł? — pomyślał półgłosem, obracając ją w palcach na wszystkie strony. — Skąd się u mnie wzięła? Przecież się nigdy gąbką nie nacieram. Zresztą za mała do tego użytku. Hm... szczególnie... Lecz gdzie podział się przycisk, do licha? Zawsze tu od lat leżał na tym samym miejscu.

I zaczął szukać po biurku, zaglądnął<sup>16</sup> do szuflady, pod stół: nadaremnie; kamień zniknął bez śladu. Na jego miejscu leżała gąbka, zwykła, pospolita gąbka... Omamienie czy co?

Wstał od stołu i zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju.

— Dlaczego gąbka? — rozumował zaniepokojony. — Dlaczego właśnie gąbka? Równie dobrze mogło być żelazko lub kawałek kołka z płotu.

— Za pozwoleniem, mój kochany — odezwał się w nim nagle jakiś głos nieproszony — to nie jest to samo. Nawet i takie zjawiska są odpowiednio uwarunkowane. Zapominasz o tym, że od paru już godzin przebywasz niemal wyłącznie w świecie stulbi, ukwiałów, gąbek i tym podobnych jamochłonów. A właśnie życie gąbki szczególnie cię interesowało. Chyba temu nie zaprzeczysz, co?

Odonicz przystanął w środku pokoju, uderzony tym wywodem.

— Hm — mruknął — istotnie zaprzętuje me myśli już od paru godzin. Lecz cóż z tego, do stu szatanów?! — wrzasnął nagle na cały głos. — To jeszcze nie racja!

I spojrzał znów z ukosa na biurko. Lecz tu ku niepojętemu zdumieniu ujrzał teraz zamiast gąbki zaginiony przycisk. Leżał sobie cicho i spokojnie jak gdyby nigdy nic na wyznaczonym mu od lat raz na zawsze miejscu. Odonicz powiódł ręką po czole, przetarł powtórnie oczy i przekonał się, że nie marzy: na biurku leżał przycisk, porfirowy przycisk z gładką, toczoną galką w pośrodku. Gąbki ani śladu — jak gdyby jej nigdy tutaj nie było.

— Przywidzenie! — zawyrokował. — Halucynacja pod wpływem chwilowego przepracowania.

I zasiadł z powrotem do biurka. Lecz jakoś nie zdołał sklecić ani jednego zdania więcej tej nocy; „przywidzenie” nie dawało mu spokoju i mimo wysiłków nie potrafił skupić się do pracy...

Historia z gąbką była jakby przygrywką do innych podobnych objawów, które odtąd coraz częściej zaczęły go prześladować. Jakoż niebawem zauważył, że i inne przedmioty w pokoju „szczezają”<sup>17</sup> mu na czas jakiś sprzed oczu, by po chwili wyłonić się z powrotem na dawnym miejscu. Na odwrót, niejednokrotnie spostrzegł na biurku najrozmaitsze rzeczy, których tam nigdy przedtem nie było.

Najciekawszy jednak w tym wszystkim był szczegół, że fenomeny szły równolegle z chwilowym zainteresowaniem, jakie odczuwał dla tych przedmiotów przed momentem

<sup>14</sup>porfir (z gr. *porphyra*: purpura) — efektowna skała magmowa składająca się z jednorodnej lub drobnopiezarnej masy (ciasta skalnego), w której tkwią powstałe wcześniej prakryształy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*spongia vulgaris* (łac.) — gąbka pospolita; prymitywne, beztkankowe zwierzę prowadzące osiadły tryb życia na dnie mórz; mających wodochłonne właściwości gąbek z gatunku *Spongia officinalis* od starożytności używano do utrzymania czystości ludzkiego ciała, obecnie zwykle korzysta się z gąbek kąpielowych wytworzonych z materiałów tekstylnych. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>zaglądnął (reg.) — zajrzał. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>szczezają — od starop. *szczeznąć*: umrzeć. [przypis edytorski]

ich zniknięcia względnie wynurzenia się: prawie z reguły myślał o nich przedtem nader intensywnie.

Wystarczyło mu z pewną dozą wewnętrznego przekonania pomyśleć, że np. jakąś książkę zgubił — by po chwili istotnie stwierdzić brak jej w szafie biblioteczej. Podobnie ilekroć wyobraził sobie w sposób możliwie plastyczny egzystencję jakiegoś przedmiotu na stole, wkrótce przekonywał się naocznie, że rzeczywiście zjawiał się tam jak na zawołanie.

Fenomeny te zaniepokoiły go w wysokim stopniu, budząc poważne podejrzenia. Kto wie, czy to nie nowa zasadzka? Chwilami miało się wrażenie, że to powrotny atak „nieznanego”, tylko przypuszczony z innej strony i w innej formie. Powoli narzucały się pewne wnioski, kształtował się z nieubłaganą wynikliwością pewien światopogląd.

— Czy świat otaczający mnie w ogóle istnieje? A jeśli rzeczywiście istnieje, czy nie jest wytworem kształtującej go myśli? A może wszystko jest tylko fikcją jakiejś głęboko zamysłonej jaźni? Tam gdzieś, w zaświatach, ktoś ciągle, ktoś od prawiaków myśli — a świat cały, a wraz z nim biedny ludzki narodek jest produktem tej wieczystej zadumy!...

Kiedy indziej popadał Odonicz w egocentryczny szal i powątpiewał o istnieniu cze-  
gokolwiek poza sobą. To on tylko wciąż myśli, on, dr Tomasz Odonicz, a wszystko, na co patrzy i co spostrzega, to tylko wytwór jego kontemplacji. Cha, cha, cha! Bajeczne! Świat jako skrępyły produkt myśli indywidualnej, świat jako krystalizacja myślowego roztworu<sup>18</sup> jakiejś szalonej jaźni!...

Moment, w którym po raz pierwszy dotarł do tej ostateczności, zaciążył nad nim fatalnie. Nagle z dreszczem niesamowitego lęku uczuł się Odonicz okropnie samotny.

— A jeśli rzeczywiście tam poza węglem nie ma niczego? Któż zaręczy, czy poza tzw. rzeczywistością w ogóle coś innego istnieje? Poza tą rzeczywistością, której twórcą prawdopodobnie jestem sam? Dopóki w niej tkwię zanurzony po szyję, dopóki mi ona wystarcza — wszystko jako tako. Lecz gdybym tak zapragnął dnia jednego wychylić się z bezpiecznego środowiska i spojrzeć poza jego rubieżę?

Tu uczuł ostry, dojmujący do szpiku kości chłód niby mroźną, polarną atmosferę wiecznej nocy. Przed rozszerzoną źrenicą pojawił się zwid, ścinający krew lodem, zwid pustki bez dna i bez krańców...

Sam, zupełnie sam z myślą swoją samowtór<sup>19</sup>...

---

Któregoś dnia, goląc się przy dużym, ręcznym zwierciadle, doznał Odonicz szczególnego wrażenia: wydało mu się nagle, że ta część pokoju, którą miał poza sobą, widziana teraz w lustrze wygląda „jakoś inaczej”.

Odłożył brzytwę i pilnie zaczął studiować odbicie tylnej partii sypialni. Istotnie przez chwilę wszystko tam poza nim przedstawiało się inaczej niż zwykle. Lecz na czym polegała ta zmiana, nie umiałby bliżej określić. Jakaś specyficzna modyfikacja, jakiegoś dziwnego przesunięcie proporcji — coś w tym rodzaju.

Zaciekawiony położył lustro na stole i oglądał<sup>20</sup> się, by skontrolować rzeczywistość. Lecz nie znalazł nic podejrzanego: wszystko było po dawnemu.

Uspokojony zajrzał ponownie w zwierciadło. Lecz teraz znów pokój wyglądał normalnie; szczególna modyfikacja znikła bez śladu.

— Hiperestezja<sup>21</sup> ośrodków wzrokowych, nic więcej — uspokajał się naprędce skłonym terminem.

Lecz przyszły następstwa. Odonicz zaczął odczuwać odtąd lęk przed tym, co było poza nim. I dlatego przestał oglądać się poza siebie. Gdyby go kto zawołał na ulicy po imieniu, nie odwróciłby się za żadną cenę. Stąd też poszło, że wszelkich nawrotów dokonywał drogą okrężną i nigdy prawie nie wracał do domu tą samą ulicą, którą wyszedł. Gdy już koniecznie wypadło mu obrócić się, czynił to nadzwyczaj ostrożnie i w możliwie powolnym tempie, w obawie, by wskutek nagłej zmiany frontu nie spojrzeć twarzą w twarz

<sup>18</sup>roztwór (chem.) — roztwór. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>samowtór (daw.) — sam z kimś wtóрым, w dwie osoby. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>oglądał się (reg.) — obejrzał się. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>hiperestezja (gr., med.) — przeculica, nadmierna wrażliwość powierzchni ciała na bodźce zmysłowe. [przypis edytorski]

„temu”. Chciał przez ruch powolny i stopniowy zostawić mu dość czasu do wycofania się, względnie powrotu do dawnej „niewinnej” postawy.

Ostrożność tę posunął w końcu do tego stopnia, że mając zamiar oglądnać się, przedtem „ostrzegal”. Ilekroć przyszło mu odejść od biurka w głąb pokoju, wstawał najpierw z ostentacyjnie hałaśliwym odsunięciem krzesła, po czym mówił głosem podniesionym, żeby go tam dobrze „z tyłu” słyszano:

— Teraz obracam się.

Dopiero po tej zapowiedzi, przeczekawszy jeszcze chwilkę, odwracał się w zamierzonym kierunku.

Życie w tych warunkach wkrótce stało się istną katownią. Odonicz, skrępowany na każdym kroku tysiącem obaw, co chwila wietrzący czyhające nań niebezpieczeństwo, wiódł egzystencję pożałowania godną...

A jednak i do tego przyzwyczaił się. Owszem, po pewnym czasie owo wieczne czuwanie w stanie napiętych nerwów stało się drugą naturą. Poczucie otaczającej go w każdym momencie tajemniczości, lubo<sup>22</sup> groźnej i niebezpiecznej, rzuciło jakiś posępny urok na szary szlak jego życia. Powoli, nieznacznie polubił ową grę w chowanego; w każdym razie wydała mu się ona bardziej zajmująca niż banalność zwykłych ludzkich przeżyć. Zapalił się nawet do tropienia niesamowitych poszlak i trudno by mu było obejść się bez świata zagadek.

Ostatecznie sprowadził wszystkie trapiące go wątpliwości do dylematu: albo jest tam coś poza mną „innego”, coś zasadniczo różnego od rzeczywistości, którą znam jako człowiek — albo też nie ma nic — zupełna pustka.

Gdyby go ktoś zapytał, z którą z tych dwu ewentualności wolałby spotkać się po tamtej stronie — Odonicz nie potrafiłby dać stanowczej odpowiedzi.

Niewątpliwie nicość, bezwzględna, bezgraniczna pustka byłaby czymś okropnym; z drugiej strony jednak może nicość nawet lepsza niż straszliwa rzeczywistość innego rzędu? Bo któż wiedzieć może, jakim jest owo „coś” naprawdę? A jeśli jest nim coś potwornego — czyż nie lepszy zupełny zanik niebytu?

To zawieszenie między krańcami stało się zaczynem walki dwóch sprzecznych tendencji: z jednej strony dławił go w stalowych szponach strach przed nieznanym — z drugiej pchała w objęcia tajemniczości wzrastająca z dniem każdym tragiczna ciekawość. Jakiś przezorny, doświadczony głos przestrzegał wprawdzie przed niebezpieczną decyzją, lecz Odonicz zbywał rady pobłażliwym uśmiechem. Uwodne<sup>23</sup> dajmonium przywabiało go coraz bliżej syrenim czarem obietnic...

I wreszcie uległ mu...

W jakiś jesienny wieczór siedząc nad otwartą książką, nagle wyczuł poza plecyma<sup>24</sup> „to”. Coś działo się tam poza nim: rozsuwały się tajemnicze kulisy, dźwigały w górę kotary, rozchylały się fałdy draperii...

Wtedy niespodzianie powstało szalone pragnienie: oglądnać się i spojrzeć poza siebie, ten tylko raz, ten jeden, jedyny raz. Wystarczyło odwrócić szybko głowę bez zwykłego ostrzegania, żeby nie „spłoszyć” — wystarczył jeden rzut oka, jedno krótkie, momentalnie krótkie spojrzenie...

Odonicz odważył się na to spojrzenie. Ruchem nagłym jak myśl, jak błyskawica oglądnął się i spojrział. I wtedy z ust jego wyszedł nieludzki krzyk grozy i strachu bez granic; konwulsyjnie chwycił się ręką za serce i jak piorunem rażony zwałił się bez życia na posadzkę pokoju.

<sup>22</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>uwodny — dziś: uwodzicielski. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>plecyma (daw.) — dziś popr. forma: plecami. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-niesamowita-opowiesc-spojrzenie/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.